„MĘŻNA NIEWIASTA“.

II.

W MAŁŻENSTWIE.

10. Niewiastę mężną któż znajdzie? Daleko i od ostatecznych granic cena jej.....

11. Ufa w niej serce męża jej a korzyści nie będzie potrzebował...

12. Odda mu dobrem a nie złem po wszystkie dni żywota swojego.

. . . .

17. Przepasała mocą biodra swoje i zmocniła ramiona swoje.

. . . .

23. Znaczny jest mąż jej w radzie, gdy usiądzie między starszemi ziemi.

Ks. Przypowieści. Rozdz. 31.

Gdybyśmy chcieli w kilku zdaniach streścić stanowisko jakie zdaniem naszem zajmować winna kobieta w małżeństwie, nie umielibyśmy znaleść tak prostych a silnych wyrazów jak te, które już przed kilkoma tysiącami lat wpisane zostały do ksiąg świętych starego zakonu. A były to czasy wysokiej kultury duchowej i wyniesienia się mądrości ponad wszelką inną moc, jednocześnie zaś czasy niezmiernej tęsknoty i zwątpienia, które kładły w usta mędrca Pańskiego gorzkie słowa: „Widziałem wszystko co się dzieje pod słońcem: a oto wszystko marność i udręczenie ducha“. Tenże sam mędrzec pisze dalej: „Cóż jest co było? toż co potem będzie. Cóż jest, co się stało? toż co się stanie“. I oto widzimy, że dzisiejsza pesymistyczna filozofia życia, ani jednego słowa ująć czy dodać nie mogłaby, na określenie wszystkiego co się dzieje pod słońcem, nadto, że wszystko jest marność i udręczenie ducha. Starożytni mieli jednak tę wyższość nad nami, że wśród marności życia szukali sposobów jakby przecie mimo „że wszystko jest źle pod słońcem“ jaknajwięcej dobra z życia wydobyć. W dalszych rozdziałach ksiąg Ekklesiastes, którą cytujemy czytamy: „Lepiej tedy dwiema być społem niż jednemu: albowiem mają pożytek ze swego towarzystwa: Jeżli jeden upadnie drugi go podeprze. Biada samemu: bo jeśli upadnie niema ktoby go podniósł“.

Przekonanie że lepiej być dwiema społem niż jednemu, było zdaje się głównem a może jedynem źródłem z którego małżeństwo czerpało swoją

niespożytą żywotność, oraz ową świętość i powagę jaką wszystkie prawodawstwa religijno-społeczne wynosiło je ponad wszelkie inne odmiany współżycia mężczyzny i kobiety, a które w ogólnej ewolucyi społecznej krystalizowało się jako dążenie do czystej monogamii — jedynożeństwa.

Dążenie to ukochała i zrozumiała kobieta prędzej niż mężczyzna. Być jedyną przez całe życie towarzyszką dla jedynego mężczyzny, było już od wieków marzeniem kobiety słabej a dążeniem silnej.

Dziś można śmiało powiedzieć że w instynkcie kobiety uczciwej i zdrowej, prawdziwe życie dobre i szczęśliwe formułuje się jako życie we dwoje bez podziału i bez odmiany. Oczywiście to jest powodem, że wiele z tych które instynkt ten podniosły w sobie do znaczenia ideału czy dogmatu, pozostają samotnemi, bo nie mogą znieść tej połowicznej, najczęściej kłamliwej formy, jabą jest dzisiejsze małżeństwo i wolą wyrzec się go raczej zupełnie.

Mężczyźni dotąd dosyć sceptycznie odnoszą się do tego idealnego poglądu na małżeństwo, prawdopodobnie dlatego że od dzieciństwa chłopcu jako dogmat obyczajności stawia się formułkę: mężczyzna jest naturą polygamiczną, kobieta monogamiczną, a nikt się nad tem niezastanawia, że w tak szerokiem stosowaniu formułki tej w praktyce jak to ma dotychczas miejsce, dla wielożeństwa mężczyzn koniecznem jest wielomęztwo kobiet, które dotąd za grzech przeciw naturze nie zostało uznanem ani w praktyce, ani w teoryi. Mimo to można twierdzić na pewno, że i każdy uczciwy a rozumny mężczyzna, ma w głębi duszy ukryte pragnienie znalezienia jednej na całe życie towarzyszki. Jeżeli pragnienie to tak często i zwykle prędko, staje się celem sceptyczno-złośliwych wycieczek, to prawie zawsze kryje się po za tem ból, jaki budzi w duszy ludzkiej nieziszczone marzenie.

A jednak marzenie to jest łatwiejszem do urzeczywistnienia niż wiele innych tęsknot, oczywiście dla ludzi silnych i rozumnych. Kobieta współczesna która „przepasawszy mocą biodra swoje i zmocniwszy ramiona swoje“, staje do walki z życiem, aby u r z e c z y w i s t n i ć wszystko to dobro, które ona dać może, wierzy że zdoła prastare swoje marzenie: być jedną dla jednego przez całe życie, zamienić na rzeczywistość. A odnajdując swoje dążenia w księgach starych wieszczów w mądrą przypowieść ujęte, jakiej niewieście zaufałoby serce męża, aby innej korzyści nie potrzebował „ściąga rękę swą do rzeczy mocnych, ujmując jednocześnie palcami wrzeciono“ i „otwiera usta swe mądrości a zakon miłosierdzia na języku jej“. To już nie kobieta, bluszcz żyjąca pasożytniczo sokami innego organizmu, to już nie kobieta-anioł, unosząca się w powietrzu aby nie dotknąć stopą twardej ziemi i przysłaniająca skrzydłami oczy, aby nie widziały nędzy i błota które są życia niedolą, ale to jest mężna niewiasta, która „upatrowała ścieżki domu swojego a chleba próżnując nie jadła“, to jest towarzyszka mocna co nie wyczerpuje i w dół strąca, ale podeprze w chwili słabości, aby „znacznym był

mąż jej w radzie kiedy zasiądzie między starszemi ziemi". Tak rolę swoją w małżeństwie wyobraża sobie współczesna mężna niewiasta i do takiego małżeństwa zdąża dzisiejsza walka jaka się toczy pod srogiem hasłem wyzwolenia kobiety. *Marya Turzyma.*

CIEMBRONIEWICZ JÓZEF.

PRZEDPIEKLE GABRYELI ZAPOLSKIEJ A PEDAGOGIA.

„Pierwej rozstrzyga się wszystko w duchu nim zwycięstwo urzeczywistni się na ziemi". *Mickiewicz.*

Nie ma człowieka, któryby kwestyi wychowania nie uważał za kwestyę pierwszorzędną, któryby gdy rozmowa na ten temat zejdzie nie rzucił kilku bodaj górnobrzmiących frazesów, o potrzebie czuwania nad młodem pokoleniem, tą nadzieją i przyszłością narodu. Nie ma takiego człowieka powtarzam, a przecież przeglądając nasze pisma peryodyczne, rozpatrując się bliżej w literaturze, zauważyć musimy, że pomimo tego, kwestye te zajmują u nas bardzo mało miejsca, a rozpatrywanie ich pozostawiono garstce ludzi fachowych i ich fachowym pismom, których ogół zajmujący się wychowaniem, a więc rodzice, nigdy nie czytają. A przecież powiedziałbym rodzice ci nie są tak obojętni na te sprawy, dowodem tego chociażby „Przedpiekle" Zapolskiej, które w krótkim przeciągu czasu doczekało się drugiego wydania.

Przedpiekle! Nazwa straszna! Po przeczytaniu tego tytułu myśl mimowoli biegnie w nory przedmieść wielkich miast, pełne ohydnych wyziewów, mimowoli wyobraźnia wysnuwa jakąś powieść kryminalną, a w niej widzi co krok to zbrodnie, od obrazu której włosy stają na głowie. Dlaczegóż jednak „Przedpiekle" to poleca autorka matkom dla przestrogi? Z pierwszych prawie słów Zapolskiej przekonujemy się dlaczego, z pierwszego zaraz rozdziału dowiadujemy się, że przedpieklem tem, to pensyonat nowożytny, pensyonat na którym córy pierwszych rodzin pobierają wykształcenie. Nazwa dosadna, z niedowierzaniem ją przyjmujemy. Pensyonat, ten przybytek białych anielic, od których myśl odsuwa nawet cień złego, ma być przedpieklem? dowodzi nam tego autorka, a dowodzi w taki logiczny sposób, że po przeczytaniu powieści, nazwa zdaje się nam, nie przesadzoną, ale raczej za mało dosadną, bo to już nie przedpiekle, ale piekło całe.

Bramy tego piekła otwarte przed nami. Zaledwo przystąpiliśmy próg tego przybytku anielic, otacza nas powietrze pełne lubieżności, pełne zgnilizny moralnej i zmysłowych chuci.

Noc. Panienki śpią. Panna Melania, guwernantka sucha, koścista, zasuszona w swem staropanieństwie, obchodzi śpiące i poprawia im ręce, które

powinny być złożone na piersiach, aby śpiące wyglądały „tak jak aniołki, otaczające Matkę Boską“. Czy tak jest rzeczywiście po pensyonatach czy może wyjątkowo w którym się trafiło, nie będę rozsądzał. Przypuśmy nawet, że to przesada te ręce skrzyżowane, są jednak obrazem bezdusznego szablonowego wychowania, wychowania hypokrytycznego, zważającego na pozory, a nie wglądającego w istotę, w jądro rzeczy. Wychowanie takie to niewola, niewola gorsza od tej jakiej doświadczają więźniowie, bo niewola krępująca ducha. A przecież młodość, olbrzymie siły, temperament kobiecy, potrzebują ruchu, gwaru, swobody.

Aczkolwiek rząd roztacza dozór swój nad prywatnymi pensyonatami, przecież dozór ten nie jest tak ścisły i wystarczający, ani da się tak łatwo urządzić, aby dawał rękojmię zupełną, że pensye otwiera osoba taka, która pod każdym względem zadaniu temu godnie odpowiedzieć potrafi. Nie jest to w zupełności winą rządu, trudno tu bowiem określić stanowczo i nieomylnie kto zadania tego podjąć się może, tem bardziej, że sądzić się musi z patentów i świadectw, a sąd na nich oparty nie może być wyczerpującym. Dostają się też często pensye w ręce takich pań Gierczykiewicz, jakiej portret maluje nam Zapolska. Taka pani Gierczykiewicz, wdowa po profesorze jest „sztywna, wyprostowana“, posiada obnoszoną suknię jedwabną i twarz kobiety pewnej siebie, szacunku jaki wzbudza dookoła, a cała skąpana w falach poezyi dba mało o to co się po za nią dzieje. Ot, aby szło naprzód z dnia na dzień i „byle jej pozostawiono wykłady o ubóstwianych poetach“.

Cała ta pani Gierczykiewiczowa, nie jest ani rzadkością, ani też nie jest znowu taką najgorszą, bo aczkolwiek pensya jej jest przedpieklem, aczkolwiek na pensyi tej dzieje się źle i to bardzo źle, ma ona tę zaletę, że pensyi nie uważa za przedsiębiorstwo intratne i nie myśli na żołądkach pensyonarek robić majątku. To jedna jedyna jej dobra strona, ale i tę dobrą stronę niweluje w zupełności kucharka pani Gierczykiewicz i jej prawa w administracyi wewnętrznej ręka. Dla tej żołądki pensyonarek są źródłem dochodu — kopalnią złota, kopalnią drogą, bo opłacaną kosztem zdrowia uczennic. Czyż tak jest tylko w powieści Zapolskiej? Nie! Tak dzieje się w życiu. Przyznać też musimy ze smutkiem, że większość poruszanych w „Przedpieklu“ błędów“ odnoszących się do wychowania kobiet jest prawdziwą.

Zaledwo zgrubsza poznaliśmy przełożoną pensyi, zaledwo przesunęła się nam przed oczami jak cień Melanica, guwernantka, wprowadza nas pani Zapolska do klasy tak zwanaj wstępnej. Niewesoły i tutaj przed nami roztacza się obraz. Widzimy ławki za wysokie, niewygodne, sprawiające drętwianie nóg, uczuwamy ciężką atmosferę, na którą składają się wyziewy blizko trzydziestu dziewcząt. Razem z nami wchodzi do klasy i przełożona, a z jej wejściem odczuwamy, że pomiędzy nią, a jej pupilkami „niema żadnego łącznika serdecznego“. Wytworzenie takiego łącznika jest niezmiernie trudne

ale staranie o to powinno być pierwszym obowiązkiem wychowawcy, tam bowiem gdzie tego łącznika brak, twierdzić można z całą stanowczością; wychowanie nie da tych rezultatów jakich się spodziewamy.

Wprowadziwszy nas do klasy nie pominęła Zapolska sposobności przedstawienia nam lekcyi i obrała do tego bardzo, zręcznie lekcyę religii. Nie potrzeba być fachowym, nie potrzeba znać pedagogiki i dydaktyki, wystarczy wziąść w rękę przepisany katechizm, aby przekonać się, że nauka religii szczególniej w klasach niższych inaczej udzielaną być powinna. Wyuczenie formułek to jeszcze nie religia! Tego Boga, który maluczkich tulił i tuli do siebie, trzeba maluczkim przedstawić z ogromną miłością, trzeba katechizmy precz odrzucić, a uczyć żywem słowem przelewając ogromną miłość ku Bogu bezpośrednio ze swego serca w serca maluczkich.

Po lekcyi religii znów bardzo trafnie przedstawia nam Zapolska lekcyę kaligrafii urągającą najprostszym zasadom hygieny. Z bystrością jednak dobrego obserwatora, nie wini ona o tę niehygieniczność nauczyciela; owszem zaznacza, że on stara się prawidłowo usadowić dzieci, te jednak jego zabiegi rozbijają się o niehygieniczne urządzenie klasy.

Nie tylko jednak przy sposobności lekcyi kaligrafii potrąca autorka o hygienę. Wraca ona do tego tematu ilekroć się jej po temu w ciągu całej powieści najmniejsza bodaj nadarzy sposobność. Rzeczywiście też jest to temat o którym nigdy za dużo mówić nie można, na który nigdy nie da się położyć za dużo silnego nacisku. Szkoły nasze czy publiczne, czy prywatne, to mordownie. Brak światła i powietrza, tych tak nie drogich i przy budowie nie podnoszących cen kosztorysu przedmiotów, daje się uczuwać na każdym kroku. Jednem słowem u nas o hygienie mówi się... ale niestety tylko mówi.

Rekreacya. Godzina wolna od nauki. Widzimy uczennice jedzące suche bułki, oddychające powietrzem małego czworokątnego dziedzińca na którym się ani trawka nie zieleni. Widzimy te uczennice „pochylone, smutne, znękane, mające wygląd dziewcząt pracujących w domach karnych i brak im tylko szarych płóciennych spodnic, aby złudzenie to było zupełne“. Słyszymy ich szepty tajemnicze „od których drżą z chęci dowiedzenia się wszystkiego, a potem chodzą jak obłąkane, tułając się wśród ognistych promieni zmysłowych, pragnąc zadowolenia swej ciekawości za jakąkolwiek cenę“. Obraz straszny, niemiły, wstrętny. Dusza matki wzdrygnąć się nań musi, a jednak obrazów dosadniejszych jeszcze nie szczędzi nam Zapolska, odkrywając przed oczami naszemi niespokojną duszę pensyonarki, pensyonarki w której budzi się kobieta, dopomina o swe prawa, a której wyobraźnia nie zaspokojona, tem ponętniejsze snuje dla siebie obrazy, urojenia, jakich rzeczywistość dostarczyć by nie mogła. Tu powiedziałbym punkt kulminacyjny powieści, (nie owej fabuły powieściowej), która ma z oczu matek zedrzeć zasłonę i pchnąć wychowanie kobiet na odmienne właściwsze tory.

Jest zwyczajem z dawna udartym, uznanym za najlepszy, krycie przed dorastającemi dziewczętami wszystkiego co odnosi się do macierzyństwa, do owej wzniosłej tajemnicy z której ludzie zrobili tajemnicę plugawą, lubieżną. Kryją się matki z tem, kryją przed dorastającemi córkami, ale krycie to zaostrza tylko ciekawość i to o czem córka z ust matki mogłaby się dowiedzieć zupełnie bez szkody dla siebie, dowiaduje się po wielu dociekaniach z ust sług, lub innych ust niepowołanych, a jakie są skutki tego, przedstawia nam Zapolska w dosadnem oświetleniu, a jednak psychologicznie prawdziwie.

Wracajmy jednak do przerwanego wątku, wyławiajmy dalej niezbite prawdy pedagogiczne gęsto rozsypane w Przedpieklu!

Brak hygieny zakładu nie może nie odbić się na wyglądaniu panienek, niedostateczna pomoc lekarza zapisującego nieodmiennie „pigułki żelazne“ i „dużo ruchu“ po smrodliwych gankach, nie może zaradzić złemu, widzą też matki, że córki przyjeżdżające na święta źle wyglądają, pomimo to rade, że się pozbędą kłopotu odwożą je znów na pensyę, tłómacząc sobie „że to wiek przejściowy, krytyczny jest powodem tego złego wyglądu córki. Zarzut silny, zarzut lekomyślności i niedbalstwa rzuca Zapolska matkom w oczy tem przedstawieniem. Zarzut ten zdaniem mem nie jest zupełnie słuszny. Matki takie, które wywożą córki swe na pensye, aby pozbyć się kłopotu są wyjątkiem. Większość matek nie grzeszy lekomyślnością lecz brakiem najkardynalniejszych wiadomości z hygieny, nieświadomością tego z czego owo mizernienie pochodzi i czem ono w przyszłości grozić może. Taka nieświadomość nie usprawiedliwia jednak zupełnie, kto bowiem zostaje matką nie powinien oszczędzać ni czasu ni trudu, lecz musi starać się wszelkiemi siłami, aby godnie mógł temu zadaniu odpowiedzieć.

Panna Melania, która czuje, że dziewczęta pełno mają pomiędzy sobą niezdrowych tajemnic, ustanawia „order Matki Boskiej“ a odznaczone tym orderem mają zająć się szpiegowaniem koleżanek. System wstrętny poniżający, który powinien być raz na zawsze wyrugowany z zakładów wychowawczych, bo nie tylko nie odpowiada swemu celowi, ale działa wprost przeciwnie, więcej w każdym razie szkodząc.

Za szkodliwe niezmiernie dla młodego pokolenia uważa Zapolska fortepiany i występuje przeciw nim z całą stanowczością. Z twierdzeniem tem zgodzić się nie można. Muzyka i spiew są ogromnie dodatnimi czynnikami w wychowaniu, ale naturalnie jeżeli nimi odpowiednio pokierujemy. Wszak i najlepszy przysmak, wszak i najzdrowsza potrawa w nieodpowiedniej ilości użyta, stać się może trucizną, a to co w takiej dawce leczy, w innej zabija.

Prawdziwie za to opisuje nam Zapolska publiczny popis uczennic. Śmieszna to komedya, w czasie której nie najzdolniejsze i najpilniejsze lecz najpiękniejsze i najlepiej ubrane popisują się, „a z góry rozdzielone i zapewnione zapytania“ wykluczają możliwość zasypki. Że tak się takie popisy

odbywają to prawda, a jak one oddziaływają nie ma nawet potrzeby mówić. Popisy takie urządza się dla renomy pensyi, urządza się, aby mniej baczne matki otumanić, aby wykazać „że nie ma to jak pani Gierczakiewicz w prowadzeniu i kształceniu młodego pokolenia. Ileż taktu i jak panienki zyskują w takim zakładzie. Nabierają ułożenia, pewności siebie, a francuzki akcent mają wcale.... wcale niczły". Oj słusznież też słusznie o takich matkach powiada Zapolska „że ich ptasie mózgi widzą tylko postrojone córki na estradzie, ubranej kwiatami, robiące jak na komendę głęboki ukłon i odpowiadające szybko i wprawnie na zapytania. Co się pod tem wszystkiem kryje, jaka nicość jaka bezdeń straty czasu i brak najelementarniejszych wiadomości oto te panie nie dbają. Córki ich są dobrze ułożone — oto wszystko".

„Na pensyi pani Gierczykiewicz rózgi nie używano, ale pociągnięcie wstępniaka za ucho, uderzenie w plecy lub głowę, wreszcie klęczenie na środku klasy z kantową linijką przełożoną przez plecy — były to kary słodkie pedagogiczne i dozwolone". Jak one oddziaływały nie trudno sobie wyobrazić. Nadaremnie niemi Melanica chciała przymusić do okazywania sobie szacunku.

Zapolska śledząc życie na pensyi prawie krok za krokiem nie pomija najmniejszego rysu mogącego rzucić światło na to wychowanie, a rysy które nam podaje są takie prawdziwe, a zarazem wybrane z takiem pedagogicznem doświadczeniem, że trudno je pominąć. Takim rysem jest składka na imieniny Melanii. Opisana jest ona tak prawdziwie, owo niedobre współubieganie się o to kto da więcej, owo naciąganie rodziców, a nawet kradzież z tego powodu, są takie naturalne, a powszednie, że każdy zapewno z czasów młodości mógłby sobie podobny wypadeczek przypomnieć. W szkołach publicznych składki są zakazane, nie ma też tam tego pola do rozwinięcia się z tego powodu próżności i innych z podobnego źródła wypływających wad jak po pensyonatach. Dok. n.

Dr. SALOMEA PERLMUTTER

POŁOŻENIE LWOWSKICH ROBOTNIC CHRZEŚCIJAŃSKICH.

15. Robotnice w cegielniach.

Zajęciem tych robotnic jest składanie cegieł w szopach bez ścian, tak że w czasach wielkiego deszczu praca ustawać musi. Nieliczne kobiety są także zajęte przy maszynie do obrzynania cegieł, prawdopodobnie jako pomocnice, przy maszynach bowiem pracują mężczyźni. Robota nie wymaga kwalifikacyi, ale natęża bardzo, bo trzeba ciągle schylać się. Dzień roboczy trwa od 6 zrana do $6^1/_2$ wieczorem z półgodzinną przerwą na śniadanie i jednogodzinną na obiad. Płaca wynosi 50—60 cnt., wypłata odbywa

się raz na tydzień. Robota jednak trwa tylko przez lato, od kwietnia do września. W innych porach robotnice szukać muszą innych zajęć, pranie, posługi itp. W przeważnej części zatrudnione są po cegielniach mężatki których mężowie także w tychże cegielniach znajdują zatrudnienie; otrzymując po 20 złr. miesięcznie. Czasem właściciel daje im u siebie mieszkanie, płacąc za to mniej dziennie, ale robotnicy przedkładają większą płacę, aby sobie módz wynajmować mieszkanie, gdyż mieszkania oddawane im przez przedsiębiorców są wilgotne i liche. Ekspertki mieszkały osobno i dość były zadowolone ze swoich „stancyj".

Eksportki należały do kasy chorych, za co ściągano im tygodniowo po 10 cnt. W razie choroby robotnica taka pobiera dziennie 30 cnt. i pomoc lekarską. Lekarz do dzieci ich, gdy są chore, nie przychodzi.

Wikt robotnic w cegielniach jest marny, na obiad mają jakąś zupę z chlebem, śniadanie stanowi kawa z chlebem; kolacyę to samo, lub jeśli co zostanie z obiadu, kapusta, kartofle, lub t. p.

Celem zakupna sukni, bierze zaliczkę, którą następnie ściąga się po 10 cnt. dziennie. Dziewczęta nie są w stanie utrzymać się z płacy swojej, mogą żyć z niej tylko wtedy jakotako, gdy są przy rodzinie.

Robotnice cegielniane nie należą do stowarzyszeń, książek i gazet nie czytają; jeśli która umie czytać, to czyta książkę do modlitwy.

16. Pomocnice w administracyi gazet.

Do zawodu tego nie potrzeba specyalnego sposobienia się. Inteligentniejsza dziewczyna odrazu potrafi pochwycić wyznaczone jej zajęcie i porządnie robić co do niej należy. Należy do nich adresowanie, nalepianie marek, ekspedycya. Praca ta jest podzielona, tak że jedne mają adresowanie tylko, inne tylko marki nalepiają itd. Praca ta trwa od 9—1 i od 3—6, ale nie wyklucza godzin nadliczbowych np. pół, lub godzinki po za 6 godz. wieczorem, za które nie otrzymuje się żadnego wynagrodzenia. Przysługuje też robotnicom prawo korzystania z bezpłatnej jazdy tramwajem, o ile mężczyźni nie ubiegną ich i biletów nie zabiorą. Wogóle kobiety są gorzej traktowane niż mężczyźni. Administrator owej gazety, gdzie pracowała ekspertka, pobierał **75** złr. za pracę swoją, ekspertka po 4 latach dorobiła się płacy 18 złr. począwszy od 12 złr. W niedzielę i święta pracuje się także po 2—3 godz. Praca odbywa się pod osobistym dozorem redaktora, który też przyjmuje i oddala za czternastodniowem wypowiedzeniem. Do kasy chorych administratorki z reguły są zapisane. Lokale pracy nie zawsze odpowiadają wymogom hygieny. Kobiety pracują osobno, a osobno mężczyźni, zajęci przeważnie w redakcyi. W administracyach pracują kobiety z reguły inteligentniejsze, więc już czytają książki, gazety; tu i owdzie należą do stowarzyszeń; w ostatnich czasach nawet pewne ich ilości przystąpiły do nowo-

powstałego „Stowarzyszenia nauczycielek i urzędniczek prywatnych, ale procent bardzo mały.

17. Pomocnica w fabryce cukierków.

I w tym zawodzie nie potrzeba specyalnej kwalifikacyi, przynajmniej do robót, które spełniają kobiety. Po kilku dniach nabyć można potrzebnej dla tych czynności wprawy. Kobiety pracują przy wyrabianiu pierników i cukierków; gniotą cukier, składają, sieką, wysiewają, pakują do puszek. Nie potrafią zaś zrobić tego co robotnicy, bo trzeba do tego nauki. Wyzysk robotnic w fabrykach cukierków jest okropny i nie równie większy od męzkich robotników. Robotnik ma 10, 12 i 15 złr. tygodniowo za pracę swoją, chłopiec 5 złr., robotnica zaś, spełniająca taką samą robotę, co ten ostatni, doprowadzić może co najwyżej do 3 złr. począwszy od 90 cnt. tygodniowej płacy. Nadto nie stosuje się do robotnic wcale ustawy, 11 godzinnym dniu roboczym. Gdy robotnik pracując od 7 godz. zrana, z jednogodz. przerwą na obiad, z uderzeniem 7 wieczorem opuszcza fabrykę, to kobieta zostawać musi jeszcze przez 2—3 godziny, pracując 12, 13 i 14 godzin. Skarga lub powoływanie się na „porządek robotniczy“ przyprawia je o utratę chleba. Gdy która spóźni się, odsyła się je do domu i za dzień cały odciąga się stosownie do tygodniowej płacy 20, 30 lub 40 cnt. Rewizye nie przestraszają przedsiębiorców, uprzedzeni o nich o 2—3 godziny naprzód, każą zaprowadzić porządek, a gdy dziewcząt kilka nie zdoła ukryć się, to wielka z tego kara nie będzie. W ogóle dużo pracuje w fabrykach kobiet i dziewcząt, te ostatnie w wieku począwszy od lat 13. Chłopcy pracują także od 13 — 15 lat. W fabryce, gdzie pracowały ekspertki, była maszyna parowa, oświetlenie było elektryczne, lokal widny i jasny. Zajęte były katoliczki i żydówki w liczbie łącznej około 40. Gdzie idzie o wyzysk, przedsiębiorcy zazwyczaj nie są tak subtelni w odróżnieniu narodowości i wiary swoich robotników.

Zresztą katoliczki nie robiły w niedzielę, żydówki w soboty były wolne. W niedzielę maszyna nie funkcyonowałe wcale. Robotnice zapisane były do kasy chorych, wkładki płaci przedsiębiorca. Od wypadków nie były ubezpieczone, a o wypadki w fabrykach tych nie trudno.

I ta robota więc daleką była od tego, by módz zapewnić jakotako byt robotnicom. Nawet na wyżywienie liche starczyć nie może, nie mówiąc już o ubraniu, mieszkaniu i zaspokojeniu nadto jakichkolwiek potrzeb kulturalnych. Jeśli dodamy potrącenie i kasy, wytrącanie za spóźnienie lub psucie materyału, otrzyma się nędzną płacę za którą ani żyć ani umrzeć nie można. Totež nie odmienne życie prowadzą robotnice fabryk cukierków, jak wymienione dotychczas uzupełniając szary obraz nędzy, braków, trosk i smutnej monotonii, jakie składają się na życie robotnicy lwowskiej. C. d. n.

ROZWÓJ GOSPODARSTWA DOMOWEGO I JEGO REFORMA.

PODŁUG LILY BRAUN.

„Gospodarstwo domowe uważane bywa jako najbardziej zacofany czynnik życia społecznego. Ono jest jak opoka, stojąca na drodze rozwoju, o którą się druzgocze każdy prąd reformy“. Zdanie to cytuje Lily Braun (Frauenarbeit u. Hauswirtschaft) aby wykazać, że się niem nie zgadza. Podług niej jest to raczej zwierciadło, odtwarzające obrazy życia zewnętrznego.

Historya rozwoju gospodarstwa uczy nas, że w czasach kiedy człowiek sam jeszcze ognia rozniecić nie umiał, a otrzymywał go tylko dzięki błyskawicy, obowiązkiem kobiety było strzedz go we dnie i w nocy. Był to zatem zawiązek pierwotnej rodziny, która się koło ogniska grupowała. Wówczas też nastąpił pierwszy podział pomiędzy zajęciami kobiety i mężczyzny. W udziale mężczyzn przypadły te funkcye, które się wykonywały zdala od ogniska a więc na pierwszym planie polowanie. Zajęcia kobiet koncentrują się przy ognisku: kobiety pieką mięso, przyrządzają ubrania i okrycia ze skór zwierząt, a potem nawet rozpinają namioty nad obozowiskiem. Z czasem człowiek uczy się otrzymywać ogień zapomocą tarcia. W tej samej epoce ludzie starają się zagarnąć jaknajwiększe terytorya do polowania, w obawie, że wskutek większego skupienia ludności, nie zawsze starczy dla wszystkich zwierzyny.

W celu obrony przed napaścią, po kilka rodów zamieszkuje razem, przez co zakres gospodarstwa domowego znacznie się rozszerza. Z czasem ludzie obawiając się wyludnienia lasów oswajają zwierzęta, aby w ten sposób ciągnąć z nich korzyści, nie zmniejszając z roku na rok ilości zwierzyny. Oswojone zwierzęta dostarczają wełnę i mleko. W tych czasach chleb bywa już wypiekany w specyalnych piecach, a zamiast skóry zwierzęcej, rozpiętej na słupach, zjawia się na mocnych ścianach oparty mocny dach. Pierwotny myśliwy stawał się powoli gospodarzem, czuwającem nad stadami zwierząt domowych. Skóry zwierzęce nie mogą już starczyć na ubrania dla całej ludności. Brak ten zastępuje wełna owiec, z której kobieta wysnuwa nić aby z wielkim mozołem utkać z niej materjał.

Tymczasem, w miarę tego jak się majątek powiększał rosły i wymagania, musiał się więc i zakres gospodarstwa domowego rozszerzać. Zdobycze wojenne dostarczały niewolników i niewolnic, których siły robocze były spożytkowywane nietylko na zaspakajanie potrzeb domowych, ale i na zadawalnianie zbytkowych zachcianek zwycięzców. Wtedy to zjawiają się zbytkowne koronki, hafty, piękne ubrania, obuwia itp. Potrawy stają się coraz

bardziej skomplikowane i wymagają coraz to więcej umiejętnych rąk. Fabrykacya świec, mydła, nabiału i warzenie piwa należało również do zajęć domowych. Kulminacyjny punkt rozwoju osiągnęło gospodarstwo domowe w zamkach średniowiecznych. Tam pracowała cała armia parobków i dziewek. Ich praca nietylko zaspakajała bieżące potrzeby, ale i tworzyła zapasy dla przyszłych pokoleń. Świadczą o tem szafy pełne płótna, składy całe oręża, dywanów i tp. pozostałe z dawnych czasów. Oprócz przyrządzania potraw dla zaspokojenia głodu mieszkańców zamku i ich gości, robiono też i zapasy żywności na przyszłość w piwnicach i spiżarniach. (Umiejętność chronienia przed zepsuciem za pomocą wędzenia i marynowania była już wówczas znana).

W tych czasach, gdy tak się działo po wsiach, miasta zreformowały swe gospodarstwa domowe. Tam zjawiają się pierwsi rzemieślnicy: tkacze, stolarze, cieśle, krawcy, piekarze, zduni i tp. którzy zmniejszają funkcye gospodarstwa domowego. Niezliczona ilość służby staje się zbyteczną. Ówczesne zajęcia domowe ograniczają się na gotowaniu, praniu, szyciu i robieniu pończoch. Potem zjawia się nowy wróg dawnego systemu gospodarstwa: kosztowna maszyna zastępuje tanie narzędzia, przy pomocy których produkowało się ubrania na domowy użytek. Ta sama maszyna, po zaspokojeniu domowych potrzeb, staje się źródłem zarobkowania. W ten sposób mieszkalny pokój zamienia się na warsztat, gdzie cała rodzina pracuje dla zarobku. Z całego gospodarstwa domowego pozostał tylko piec kuchenny, na którym się na prędce przygotowuje nędzne pożywienie, i balia, w której biedna matka pierze nędzne łachmany swych dzieci, skracając sobie nocny odpoczynek.

Maszyna, poruszana parą, wprowadziła jeszcze większe zmiany. Motory zastępują siłę mięśni przy wprowadzeniu w ruch maszyny. Robota wykonana w ten sposób prędzej i lepiej, wypada taniej od ręcznej, którą też z łatwością ruguje. To co uczynił rzemieślnik w mniejszym zakresie, uczynił przemysłowiec w większym.

Nawet wiejskiemu gospodarstwu przynosi przemysł uszczerbek. Już nie przędzą i nie tkają po dworach, a nawet zaprzestają robić w domu pończochy, a także szyć i haftować. Liczne siły robocze kobiece, wydalone z domu jako zbyteczne, ciągną do fabryk, gdzie znajdują zajęcie na prawach mniej lub więcej wykwalifikowanych robotnic. Dotychczasowe położenie domowych służących zmienia się w ten sposób na lepsze. Mogą się one doskonalić w swym fachu, wymagać z każdym rokiem lepszego wynagrodzenia, mieć prawa do emerytury, być asekurowanemi od wypadków i t. p.

Obecnie domowe ogniska robotników stoją opuszczone. Niewielki płomień na kominie, przy którym, podczas krótkiego spoczynku południowego, przygrzewa się, poprzedniego wieczoru przyrządzone jedzenie, ledwie przy-

pomina rodzinny ołtarz dawnych czasów. Prócz tego trochę łatania i prania stanowią pozostałości gospodarstwa domowego.

Nawet w bogatych domach dawny system uległ zmianie. Pozostał tylko piec kuchenny; ale i on niema swego dawnego znaczenia. Już się w nim nie piecze chleba, już się w jego dymie nie przyrządza wędlin i coraz bardziej wychodzi z użycia przygotowanie w domu konserw z jarzyn lub owoców. Stopniowo zmienia się nawet w cywilizowanych krajach wygląd komina. Czarny węgiel, ze swym wesołym płomieniem, został zastąpiony przez cichy płomień gazowy, który znów z czasem ustąpi miejsca elektryczności. Widoczne na każdem polu oszczędzanie roboczej siły i uproszczenie gospodarstwa. Dźwiganie węgla stało się tak samo zbytecznem jak i rozniecanie ognia i wynoszenie popiołu. Stopniowo znika i piec pokojowy. Centralne ogrzewanie, które za pomocą jednego pieca dostarcza ciepła dla całego domu, zastępuje go w zupełności. A zamiast mozolnie oczyszczanej i codziennie nalewanej naftowej lampy, zjawia się gaz. Potem, gdy nawet fatyga zapalania staje się zbyt wielką, wtedy wprowadza się elektryczność, której gaz ustępuje miejsca.

Ale jeszcze jednego szczegółu nie należy przeoczyć. Według dawnych tradycyj, w gospodarstwie, jedno z pierwszych miejsc, zajmowała igła. Maszyna do szycia zastąpiła ją w zupełności i stała się w biednych domach środkiem zarobkowania a w bogatych, poruszana ręką służącej lub szwaczki służy do przygotowania ubrań dla całej rodziny. Stopniowo i to ustaje. Massowa produkcya materyałów i ubrań wytrąciła igłę z ręki gospodyni. Teraz nawet zamożniejszy robotnik może gotowe ubranie dostać taniej, niż gdyby ono było domowym sposobem przyrządzone. Takie fabryki ubrań wymagają i żeńskich sił roboczych, ale tych nigdy nie brak, rekrutują się one z potrzebujących zarobków sług, żon i córek robotników i tp.

Widzieliśmy już jak gospodarstwo domowe stopniowej ulega zmianie pod wpływem technicznych postępów i ogólnych zmian społecznych. Można już obecnie spostrzegać dążność do tego, że następnym krokiem naprzód, będzie założenie stowarzyszeń gospodarczych, które zastąpią prowadzenie drobnych gospodarstw przez pojedyncze rodziny, wspólnemi ogniskami, przy których żywić się będą pracownicy lepiej i taniej. Pierwszem zadaniem takich stowarzyszeń powinno być dążenie do zniesienia instytucyi służby domowej, która jest anachronizmem w wieku pary i elektryczności. Jest to zabytek niewolnictwa. Widzimy też tu ciągłą walkę chlebodawców, dla których dawny niewolnik jest ideałem, a służba, starająca się uzyskać i rozszerzyć przynależne jej ludzkie prawa. Póki służba będzie w domu niezbędną, póty jej stanowisko nie będzie o wiele lepsze od dotychczasowego, gdyż żadna władza nie jest wstanie dokładnie wglądać w tajniki gospodarstwa domowego. Dążąc do takiego, z góry określonego celu, stowarzyszenia powinny zakładać centralne jadłodajnie i parowe pralnie. Instytucye te, odpo-

wiednio zorganizowane, stanowić będą poważną konkurencyę dla domowego gospodarstwa z następujących powodów: 1) odbiorą zajęcia w kuchni i pralni z rąk dyletantów i złożą je w ręce fachowców, 2) masowe nabywanie surowych produktów i masowe przetwarzanie ich na pokarmy w centralnej jadłodajni zmniejszy znacznie koszta utrzymania rodziny i pozwolą odżywiać się lepiej niż dotąd, nie obciążając zbytnio budżetu. Do taniości utrzymania przyczyni się odpadające komorne kuchni i pokoju służbowego, opalanie i oświetlanie tychże, pensya służby i jej utrzymanie, co przy gospodarstwie zbiorowem będzie znacznie mniejsze, niż u tej samej ilości osób przy obecnym systemie.

Hygiena będzie także przy tym systemie, święcić swe tryumfy, gdyż fachowy kucharz prędzej się do jej przepisów zastosuje, niż niewyszkolona wiejska dziewczyna, lub też niewiele od niej pod względem fachowego wykształcenia wyżej stojąca miejska gospodyni.

Dawniej projekt taki był niewykonalny, gdyż potrawy, przyrządzane w centralnej kuchni, dochodziłyby zimne do rąk konsumentów, a wtedy zniweczyłyby się wszystkie wyżej wymienione zalety: taniość, dobry smak, hygiena itp. Obecnie wózki samochodowe i termofory pozwalają dowozić potrawy szybko i bez stygnięcia. Mimo to jednak że tak wiele przemawia za wprowadzeniem możliwie rychłem i w jaknajszerszym zakresie centralnych kuchni, pralni etc, przewrót ten w gospodarstwie domowem dokonywa się jak wszelka ewolucya społeczna bardzo powoli. Wobec zacieśniającego się coraz bardziej zakresu czynności gospodarskich, oraz wzrastającej z roku na rok konieczności, pozadomowej pracy kobiet, dawnego typu gospodynie czują, że straciły swe dawne znaczenie, czują, że ich funkcye zmalały, czują, że jeżeli jeszcze krok naprzód zrobi gospodarstwo domowe, a będą one zupełnie zbyteczne. Im więcej jednak zdają sobie z tego sprawę, tem rozpaczliwsze czynią wysiłki, aby wykazać swą pozorną racyę bytu. Zajęcia gospodarskie zmniejszył przemysł, one je komplikują: nagromadzają np. w mieszkaniu i ubraniu, mnóstwo drobiazgów i pracują nad utrzymaniem ich w porządku; pozostała im kontrola nad pracą służby, one tę kontrolę przeprowadzają tak drobiazgowo, że równa się ona prawie wykonania roboty. Te kobiety nie widzą, lub też niechcą widzieć, wyższości nowego systemu, który zaspakaja lepiej i taniej potrzeby domowe. Z drugiej strony znajdą się też oponenci — mężczyźni, między temi, ci zwłaszcza którzy np. twierdzą, że kuchnia stanowi spójnię i podstawę rodziny. Czyż można bardziej znieważać rodzinę, jak zacieśniać jej wartość do znaczenia dostarczycielki wyłącznie fizycznych zaspokojeń? Jeżeliby **tylko** kuchnia miała łączyć rodzinę, to niewielka szkoda wynikłaby z jej rozprzężenia. Ale tak nie jest. Życie rodzinne ulega ciągłej zmianie, w rozwoju swoim podnosi się i uszlachetnia. W czasach pierwotnych kobieta była niewolnicą mężczyzny i pilnującą jego dobytku gospodynią; w przyszłości będzie ona towarzyszką i ko-

chanką męża i „podźwignie z nim wspólnie ciężar, co się życiem zowie". W stosunku do dzieci matka przyszłości będzie się też zasadniczo różnić od typu dawnej matki-niewolnicy. Dawna matka była tylko zdolna niańczyć niemowlęta, podczas gdy w przyszłości potrafi prócz tego być kierowniczką, powiernicą i przyjaciółką dorosłych synów i córek. Czy to dążenie stanowi rozprzężenie rodziny? czy wartość kobiety dla mężczyzny zmniejszy się przez to, że spotykać ją będzie nie tylko przy jedzeniu przez nie przyrządzonem, ale i na innych polach pracy? Przyszłość ku której idziemy, da na to pytanie, jak i na wiele innych odpowiedź. *E. L.*

KRONIKA.

Społeczne obowiązki kobiety. W nowo wydanem, zajmującem dziele Alicyi Salomon „Społeczne obowiązki kobiety" znajdujemy rozdział traktujący o tem w jaki sposób kobiety, załatwiając swe potrzebne zakupna, mogłyby przyczynić się do korzystnej zmiany stosunków społecznych.

Nie fakt że pieniądze kursują, lecz jak kursują, jak się pomiędzy sfery ludności rozdzielają to jest rzeczą ważną; a poznanie to znajduje wyraz w całym szeregu praw, obowiązujących w krajach kulturnych. Ustawy o zabezpieczeniu, ustawa podatkowa — jest w zasadzie przynajmniej — takiem dążeniem do korzystnego uregulowania bogactwa narodowego. Lecz idea pomocy państwowej, z której wyszły te prawa usunęła poniekąd na drugi plan lub zaciemniła uczucie odpowiedzialności jednej jednostki w obec drugich, czyli obowiązki jednostki w obec społeczeństwa.

Skutkiem tego i kobiety nie uświadomiły sobie dotychczas jaki wpływ mogłyby one właśnie wywierać na sprawiedliwszy podział dobrobytu wśród ludności, na ukształtowanie stosunków życiowych w szerokich masach ludu, a to jako przynależne do klas posiadających gospodynie i panie domu kupujące i zamawiające artykuły wszelkich potrzeb życiowych. W zapoznawaniu tej swej władzy i jej możliwych następstw leży zapewnie to, że kobiety nie utworzyły sobie żadnych reguł, żadnej moralności przy kupnie, która uwzględniłaby z nich jedną z etycznych sił w życiu gospodarczem... Wieleż to stosunków nad wyraz przykrych a które dałyby się zmienić, kobiety tolerują przy zakupnach, jedynie dlatego, iż ich nie znają; ileż to towarów kupują, które, musiałyby się palić im w rękach, gdyby wiedziały — lub myślały o tem — pod jakiem warunkami one powstały...

Lecz nietylko to co się kupuje, i sposób w jaki się kupuje oddziaływa w dobrym lub złym kierunku, stwarza zdrowie i postęp lub powoduje nędzę, nienawiść i zniszczenie. Jeżeli kobiety chodzą od sklepu do sklepu aby nakoniec kupić jakąś bagatelkę, poniżej zwyczajnej ceny, jeżeli kobiety żądają aby im sprzedawano towary tak tanio, że producenci z uzyskanej płacy nie byliby dostatecznie wynagrodzeni to zmuszają tem kupca do obniżenia cen towarów fabrykantom, ci zaś zmuszeni są obniżyć skutkiem tego płacę robotnikom lub przedłużyć im czas pracy. Oburzamy się wprawdzie z całą słusznością na pracodawcę, który robotnicy młodej wypłaca cenę haniebnie niską, z tym dodatkiem, że wieczorem potrafi wszakże znaleźć na ulicy intratny zarobek uboczny, oburzamy się, lecz same przyczyniamy się jeżeli nie do utworzenia, to utrzymania tych stosunków przez namiętność targowania się i obniżenia cen towarów nawet poniżej ich wartości.

Przeważna ilość pań wzdrygałaby się kupować i nosić suknie, które przez kradzież weszły w posiadanie kupca, a ileż to pań — i to właśnie takich, które nie potrzebują się liczyć z każdym groszem i przy innych

sposobnościach wcale nie są oszczędne — kupują towary, które noszą na sobie piętno choroby, nędzy i hańby — co już z powierzchownej refleksyi staje się oczywistem. Ile to rękodzielników ginie z powodu nieregularnego płacenia ze strony klienteli a zatem przez jej niedbalstwo i bezmyślność!... Podobnie też liczne nauczycielki prywatne cierpią, przez bezwzględne i bezmyślne omawianie godzin, za które później odciąga się honoraryum. Czy to z przesadnej dumy, czy z obawy utracenia uczenicy a tem samem części i tak niepewnego dochodu, przyjmują to, jak i częstokroć niepunktualne płacenie miesięcznej pensyi — milcząco... Kto późno wieczorem załatwia swe zakupna — a wiele czyni to bez innej przyczyny, jak tylko nieumiejętności podziału swej pracy lub niedbałości w obliczeniu swych potrzeb — przyczynia się tem do późnego zamykania sklepów, a zatem do przedłużenia służby subjektom już i tak przeciążonym.

Najstarsza oganizacya konsumentów utworzona na podstawach altruistycznych założoną została przed laty pięćdziesięciu w Anglii. Jest to „towarzystwo ku wczesnemu zamykaniu sklepów". Udzielanie subjektom jednego wolnego popołudnia w ciągu tygodnia (prócz niedzieli) które dziś już prawie w całej Anglii weszło w użycie może być głównie przypisane inicyatywie tego towarzystwa. Bardzo skutecznie działały różne Stowarzyszenia kobiece w Niemczech w kierunku wyrobienia dla sklepowej służby krzeseł i wpłynęły na przeprowadzenie prawa w tym duchu. Podobnie też podczas strejku Isenburskich praczek w r. 1897 frankfurskie stowarzyszenie kobiece potrafiło pozyskać dla strejkujących życzliwość klienteli i udało im się uzyskać w sądzie przemysławym wyrok dla praczek bardzo korzystny. Że jednak wypadki tego rodzaju są zupełnie odosobnione, uczucie pewnej dpowiedzialności i obowiązków klientów w obec producentów, jest wśród kobiet bardzo mało jeszcze rozpowszechnione, na to mamy codziennie liczne dowody. Oto jeden z nich: Krawiec kostiumowy w jednej z najwytworniejszych pracowni berlińskich przedstawiał właścicielowi firmy niekorzysci wprowadzenia roboty domowej (poza pracownią). Wykazywał mu przytem że pociąga to nietylko lichą placę dla robotników, ale nadto leży też w interesie z lepszego towarzystwa, które za wyroby z tej pracowni pochodzące płacą olbrzymie ceny, aby suknie ich sporządzone były w hygienicznej pracowni, nie zaś w zapowietrzonych często, zarazkami chorób przesiąkłych a od wszelkiej kontroli usuwających się mieszkaniach robotniczych. Ten wzgląd na korzyść i życzenia kupujących pań skłonił właściciela firmy — do następującej odpowiedzi, do której zresztą miał zupełne prawo: „Panie z lepszego towarzystwa, które zamawiają u mnie swe suknie, nigdy jeszcze nie pytały mnie o to jak i w jakich warunkach suknie te się sporządza!" Może słowa te chwilowo robią wrażenie deprymujące i beznadziejne, można jednak w nich dopatrzyć się dowodu że kupcy nie lekceważą sobie życzeń i wpływu kosumentek i że od kobiet tylko zależy by wpływ ten zechciały wykorzystać na korzyść pracowników. *Dr. Felicya Nossig.*

Przestroga. Zarząd warszawskiego chrześciańskiego Towarzystwa ochrony kobiet podaje do wiadomości, że według otrzymanych doniesień źródłowych z Buenos Ayres, wyjechał do Europy znany handlarz dziewczętami, w celu werbowania, pod pozorem popłatnych zajęć, do domów rozpusty w Ameryce południowej, dziewcząt nieświadomych i kobiet młodych. Wobec tego zarząd ostrzega młode kobiety i dziewczęta, aby nie wierzyły żadnym zapewnieniom, że otrzymają tam zajęcie popłatne lub obietnicom zamążpójścia, gdyż czeka je w Ameryce zguba oczywista W razie wątpliwości interesowane zgłaszać się mogą o wyjaśnienie i radę do zarządu warszawskiego Towarzystwa ochrony kobiet.

Zarząd Tow. uprasza wszystkich ludzi dobrej woli o odczytanie niniejszego niepiśmiennym. („Prawda").

„Ognisko domowe." Pod tą nazwą ma założyć warszawskie chrześciańskie Tow. ochrony kobiet schronisko, na co otrzymało już zezwolenie władz.

W tym schronisku mają za umiarkowaną cenę znaleźć mieszkanie, utrzymanie i opiekę kobiety-katoliczki, bez różnicy stanu, w wieku od lat 16 do 36 pozbawione domowego ogniska, lecz mające stałe zajęcie.

Z pola naukowego. Francuzkie Towarzystwo gieograficzne przyznało wielki medal srebrny pani Condreau i hrabinie Bourg de Bozas za odbyte podróże.

Towarzystwo prawników w Nowym Jorku przyjęło do grona swoich członków pierwszą kobietę, pannę Rozalię Löw, która poświęciła się zawodowi adwokackiemu. („Tyg. Illustr".)

Z prasy. W N 34. „Tygodnika Illustrowanego" p. C. Walewska pomieściła artykuł „Nasze panny", w którym chwali i poleca działalność filantropijną pannom, aby je „wyprowadzić z labiryntu pustej bezcelowej nudy."

Nr. 38 „Wędrowca". Artykuł „Praca kobiet" podpisany literą P·

Nr. 38 „Roli". Może nie wszyscy czytelnicy „Nowego Słowa" wiedzą o „Roli." Powiem tylko, że smutno robi się w duszy na myśl, że organ ten zajął się kwestyą kobiecą. Zajął się z okazyi zwinięcia wydawanego przez same kobiety w Paryżu p. t. „La Fronde." Redaktorka p. Durand i bardzo wiele współpracowniczek przeniosło się do dziennika „L'Action" i z tej właśnie racyi „Rola", swoim zwyczajem rzuca na nie błotem.

Dom dla robotnic został otworzony w Pittsburgu w Ameryce i może pomieścić do 400 osób, jak pisze „Neues Frauenleben". Dom ten, zaprojektowany przez Elżbietę Cady Stanton posiada obszerną czytelnię, liczne maszyny do szycia i przeznaczony jest dla robotnic, których tygodniowy zarobek nie przewyższa 12 złr.

Zebranie. W Kolonii odbyło się w ostatnich dniach września 22 ogólne zebranie niemieckiego Związku kobiet. Tematy obrad były następujące: Kobiety a urzędy gminne. Płaca robocza kobiet, kwestye etyczne i wychowawcze.

W Hamburgu w ostatnich dniach września obradował Związek Postępowych Kobiet o kwestyi nieślubnych dzieci, stanowiska kobiet względem polityki i. t. p.

Szkoła gospodarstwa domowego została w tych dniach otworzona w Budapeszcie. Szkoła ta, której kurs obejmuje: Gospodarstwo domowe, gotowanie, hygienę etc. przeznacza się dla dziewcząt, które ukończyły szkoły elementarne i jest zupełnie bezpłatną; koszta pokrywa gmina.

St. Kelles-Krauz.

TYMON NIESIOŁOWSKI.

PIERROT.

O poranku mgławy, a bezlitosny i niepewny swej godziny! Wzdycha Pierrot otwierając szybkiemi ruchy swych ramion, wielkie okno wychodzące na park wiośnianą szatą strojny, i hen dalej na widnokrąg piaszczysty, ubogo porosły szpilkowym lasem. Las ten to port wszystkich tęsknot „smutnego" Pierrota. O wiosno! jakżeż smutna twoja radość! Wszystko się uśmiecha z obowiązku tylko wiosny! Wzdycha wznosząc oczy ku niebu, które się rozpanoszyło z rupieciami chmur, a które zdobią okno Pierrota jak abażury firanek. O wielka tarczo westchnień! woła w rannym uniesieniu. I zwyczajem codziennym usiada na dużym już dobrze wytartym fotelu, by trochę pogwarzyć z naturą. Jego niewielka postać niknie prawie w fotelu a mała, aż nazbyt mała głowa wspiera się na prawej dłoni, lecz ciągle niespokojna, bo długie

czarne włosy spadają mu na oko, a to go jedynie mocno denerwuje. Oczy tego pana są osadzone głęboko, a patrzą aż zda się poza światy, choć ciemne są i przenikliwe. Nos mięsisty, a usta małe leciuchno zarysowane i lekko zaróżowione, mały wąsik ozdabia żółtą twarz, czasami tylko bladą, głos ma cichy, a ręce i nogi rasowe. Pierrot zapatrzony teraz w dal jest posępny, oczy mu się bardziej zapadły, włosy spadły niżej, a kąty ust drżą lekko? A teraz poranek niósł z sobą świeży powiew nadziei nad znękaną jego głowę. Przebiegał myślą dzień wczorajszy a głowa mu opada na piersi, a ręce dotykają przedmiotów porozstawianych na oknie, a oczy nie rozumieją znaczenia ich. Każda teraz chmurka niosła jego myśl w dal, w dal nie wszystkim znaną, i z bólem odczuwał utratę ich wszystkich, gdy zginą, gdy się rozprószą po lazurowym niebie. Daremnie starał się sprowadzić w swój mózg, najmilszych dni obrazy, chwile któreby dzień czyniły ozdobnym w wspomnienia. Czy już nic nie zdoła przeniknąć go dreszczem, rozpalić mu krew w żyłach i napiąć nerwy? — Oh! niema dla niego nic, nic, co by dało mu upojenie trwałe! — To, co przeżył wczoraj, wie dobrze, że jutro go też czeka niechybnie. I ciągła monotonia — taka nudna, taka jednaka. Oh! Tak przecież życia pędzić nie mogę. Trzeba wglądnąć co jest możliwe, co los przynieść mi może, bo w tej apatyi życie jest wegetacyą. Oh tak! Za oknem słychać świergot wróbli! a słońce oświeca daleki krajobraz, który się mroczy gdzieniegdzie, cieniami tęsknie fioletowymi. Ah! woła Pierrot przecież żyłem wraz z niemi, z temi ludźmi, którzy nigdy, nigdy nie widzieli mego smutku. Ja który znałem (nie bezpodstawnie) każden uśmiech, każde spojrzenie. Ja który się śmiałem prosto w twarz, z całej duszy prosto w twarz, tym głuchym opasłym wieprzom. A dziś fatum zrobiło mnie swą dewizą.

O! nieba jakież dziwne losy! — Lecz nie rozpaczajmy znów tak głęboko, mamy jeszcze dość cynizmu, nawet dla własnych słabostek — ha! da! ha! Tak całkiem doszczętnie zapomniałem czem jestem. Ha — jakżem śmieszny! jakżem śmieszny! Czyż nie wyglądam w mym liryźmie (w którym mnie zupełnie nic do twarzy) jak już prześcigła pomarańcza, już zmarszczona, zapomniana.

No nuże śmierci! zerwijże ten płód poezyi wzniosłej. I Pierrot śmiechem napełnia cały pokój, śmiechem tak dostojnym, a na miejscu zupełnie będącym. Oh, tak, tak. Żebym był Don Juanem, właścicielem, czyli przywłaszczycielem tylu cnót niewieścich, ah, wówczas, byłbym w prawie, w godności upuszczać łzy, z okna mego pokoju. Ale Don Juan choć miał na swem czystem sumieniu tyle niewinności skradzionych dziewczątkom, albo, przeciwnie tyle dziewczątek obdartych z niewinności, nigdy pewnie łezki skruchy, ni żalu nie czuło serce jego, miękkie jednak jak wosk. To serce, nieśmiertelna dewiza tylu niedołęgów. A, to zabawne! Że żyłem wiem, że żyć będę wiem. I cóż mi po tym. Czy widzieć tylko poranki, wieczory i pełzać nocami w duszach tych ludzi, czy to życie? I cóż mnie potem, że widzę

jak wszyscy spieszą, do grobu oczywiście, biegną na oślep, tak tylko do grobu!..

Pierrot odkąd poznał Maryę, nie umie już szczerze, a serdecznie śmiać się cynizmem. Zdaje mu się, że opadła mu maska z twarzy, opadła już bezpowrotnie. Stał się jak barometr wrażliwy na zmiany atmosferyczne. Zdaje mu się że cały horyzont oddycha piersiami Maryi, że jakiś, dawny już smutek, który przebiegał jej ciało, czołga się teraz wzdłuż krańców nieba, chmury blado różowe są tesknotami jej duszy. Pierrot nie przyznaje się sam przed sobą do tego, ale nocami napadają go mary, straszą i wywlekają z łóżka, widzi ją jasną jak obraz święty w mgłach i srebrze. Spieszy do okna by się ożeźwić, lecz coś go dusi za gardło tamuje oddech. Czegoż mi żal? czy co utraciłem? Nie to jest dziecinne! To jest niedorzeczne! — A był raz bardzo samotny, bardzo samotny! Nigdy jeszcze nie zaznał samotności tak strasznej, samotni która równa się najstraszniejszemu obłędowi. Ale nie tę samotność przechodził, która jednak zaludnia myśli i stroi mózg jaskrawymi obrazami lecz tę, w której napręża się każdy nerw, każde włókno. Wszystkie arterye tętnią i pulsują wielkiemi młyńcami w uszach. A głowa opada, opada, serce wolniej oddycha, aż zawrotny obłęd rzuca nas wyssanych z sił na ziemię. I to wszystko skutkiem miłości, która przychodzi zawsze nie w porę. Taką samotność czuł gdy poznał Maryę. A potem? — stał przed zwierciadłem i wpatrywał się uparcie i widział jak się łzy kręcą mu w oczach. I przy żółto kopcącej lampie i księżyca sinym promyku, Pierrot jak mara w białem kostyumie, z długiemi rękawami a oczami pełnemi grozy i lęku patrzy w zwierciadło. Bo wie że życie, to jego twarz blada z idyotyczno chorym uśmiechem a czasem rycząca śmiechem, lub tkliwa jak dziecię i skora do płaczu i ekstaz. Umie czasem patrzyć na tragedyę z współczującym uśmiechem, a na komedyę i błazeństwa ze łzami.

Schodziła noc dziwnie cicha, noc chorych widzeń i pragnień gorączkowych. Wielkie palmy sterczały złowrogo pod strop cichego pokoju, a cały pokój w mgłach, wieczornego oddechu jak grób życia, pełen powłóczystych cieni. I Pierrot blady nawet w ciemnościach mówił jej o sobie i o przyszłości. Tyś była tem, co było zawsze rozdźwiękiem we mnie. Tym co mię żarło, tym świętym pragnieniem. Ah, teraz cię odnalazłem, choć lat to temu tyle lub wczoraj. A teraz padły twe łzy w me życie. Ah! w życie tak nie jasne! Wlały się w me serce, i rozlały się wokół ciebie, źródłem mej miłości. Ale ta miłość nie szaleje burzami, nie łopoce o brzegi twego serca, drży cicho. O święta moja, drży cicho wokół ciebie! I cała moja istota okala twą duszę, a ty stoisz w pośrodku wszystkich mych uczuć! A czemuś smutna? czemuż bezwładnie opuściłaś ramiona? Oczy twoje czasem ranią się łzami! Oh czemuś tak smutna? Patrz, łzę najmniejszą przynoszę ci na dłoniach

Twoją czystą łzę! Pragnę stać się ścieżką twego życia! Czem cię mam spowić, czem ukołysać, byś zeszła z cmentarzy! Powstań z wieńców mogiły, nie zraszaj łzami ócz zmarłych! Oni nie płaczą, oni śmieją się rozkładem — szczęśliwi! Twych miękkich rąk! — woła Pierrot O moja święta i cicha! Każdy twój oddech jest nową nadzieją, każde słowo i spojrzenie nową radością życia, przyszłych bólów. Lecz jak cię zapomnieć! Jak cię zostawić. Pocóż żyło serce moje do dzisiaj? poco błądziły nogi moje. I Pierrot głęboko smutne oczy zatrzymuje długo na twarzy ukochanej. Masz oto moja cała dusza, oto moja cała sztuka dla ciebie, jednej dla ciebie — woła Pierrot w miłosnym uniesieniu. O moja królowo wszak ciebie jedynie, ciebie czczę, przez ciebie tworzę, przez ciebie jam nieszczęśliwy, wybaw mię...

Chmury spieszą zalewając niebo siną zasłoną. Drażniący niepokój wlewa się w jego serce, to biedne serce! Pokój się cały zaciemnia, a on już nie umie się śmiać dla siebie, ah, tyle wesela przynosi bliźnim, a dla siebie musi być wiecznym smutkiem! Wodzi okiem po swych rupieciach tak dobrze mu znanych i znachodzi na szkatułce z pudrem list, rozdziera kopertę — czyta: „Szaleję za tobą — szaleję! lecz gdy pomyślę — Boże — ! łzy i ból dławią mi oddech, gdy pomyślę, że ty błaznem być musisz“ Dalej nie czytał, list ucałował, roześmiał się poraz pierwszy, po tylu miesiącach serdecznie i szczerze. I wielkim głosem krzyknął obłokom — ona mię kocha! O Boże — jestem zgubiony! — już niemam nic w życiu czem bym się trudził przy zdobywaniu — a ona — jakżeż straciła dla mnie na urok, wszak stała się mą własnością — a to że moją nie będzie? Oh! dzięki ci szato biała iż wam czerwone guzy, i tobie wymalowane serce na moich plecach! Ah, już dla mnie nie istnieje ta biedna śmieszna dziewczyna. Ah, ale zapomniałom co będzie zemną, czy już bezczynnie, bez pragnień żyć będę, czy znów zajmę się wyuczaniem gestów, spojrzeń i uśmiechów. Malowaniem policzków, na śmiesznie do rozpuku podobiznę białych trupów. Jakżeż wyszlachetniałem — a to moje przeznaczenie. Umrę — ale przyjdą po mnie inni godniejsi, lub mniej godni odemnie.

O DOKTRYNERACH.

W tym zaś ustępie mowa będzie o „Próchnie“, książce p. Wacława Berenta. Język tu zwykły, nieliczne jeno formułki zaklęte, np. próchno, ten obraz tajemniczy, czekają wyjaśnienia, jak bardzo niedoskonałego, wiadomo wszystkim. Ustęp ten będzie zatem krótszy. Na obrazach bardzo już dalekich od nas mistrzów widnieją czasem powiewnie unoszące się wstęgi, na których surowością sztywną ujęte, rysują się litery i znaki, godła świątobliwych mężów i niewiast. Znaki te, odczytane z mozołem niekiedy, tłomaczą, kogo przedstawiać ma ta postać, czy też figura. Historycy sztuki upatrują w tym sposobie malowania pierwotność, lub, jak wyrażają się sami, prymitywność. Lecz nazwa nie wiele nas obchodzi. Dla obrazu naszego wystarczy, że cały ów szereg doktrynerów czy marzycieli trzyma w ręku lub w ustach wstęgę, na której widnieje zaklęta formułka, szczelnie zamknięta i nieprzystępna. Ona opowiada dzieje ich żywotów w sposób nieraz zwykły, nieraz zawiły, gdy oni stoją nieruchomi, zadumani. O tej książce zatem rzeczy najogólniejsze nasamprzód. Należy zauważyć, że autor „Pałuby“ nie wspomniał o tej książce wcale, chociaż nasuwała się bardzo często.

I.

Owa formułka tajemnicza, w ustach jednej z figur tej książki, brzmi tak: „Sztuka nie jest rzeczą dostojną“. Co jest sztuka? co jest dostojność? Oto pedanterya, żądna określeń i wyjaśnień niepotrzebnych. Przeciwstawienia wszelkie swoją łatwością ciągną umysły, a takie formułki pochodzą z przeciwstawień. Przeciwstawienie zaś tu brzmi tak: „człowiek czynów wielkich i marzyciel, to sprzeczności, których pogodzić nie można“. Pchnięte ku ostatecznościom, określenia takie wymagają rzeczy przeciwnych. Sprawa niezmiernie trudna: znaleść rzeczy przeciwne. Nieprawdaż? Jeden zatem z tych ludzi robi, działa, czuje, czuje... potężnie, cały jest jednem czuciem, drugi więc powinien... Otóż i zagadka na drodze zupełnie dobrej. Drugi zaś o tem marzy, lecz na takiem marzeniu nie poprzestaje, chce je urzeczywistnić czyli uważa marzenia za wstęp, przygotowanie nowicyat. Marzyciel, żywe przeciwieństwo tamtego człowieka, nie może nic robić, nie powinien nic robić. Rzecz ta nie jest dostojna. Dodać należy, że i niemożliwa. Obaczymy później jak stąd rodzi się szereg sprzeczności, które wiodą do nieszczęść i pogromów nawskroś nieużytecznych, może więc dlatego tragicznych. Różnicy bowiem niema między tymi ludźmi: obaj coś robią. Pytanie zawsze narzuca się umysłom niepewnym, co robią. Oto i pojawił się legendarny „przedmiot“. Każdy człowiek, rzec można bez przesady, robi to co umie. (Można tu, co prawda, dojść do pewnych krańców, na których bezczynność jest czynnością. Lecz to granice, więc je zatrzymać należy, poza niemi śmierć jest bezpowrotna). Niema człowieka pozbawionego talentu! Przypuszczenie niedalekie, że moraliści wkrótce z tego wysnują swój imperatyw. W umysłach tworzy się szybko ocena przedmiotu ze względu na jego użyteczność. Waga rozmaitych przedmiotów zmienia się stosownie do zmian atmosfery (wiek, powodzenie, przeszłe działania i t. d.) Owa tedy figura pojęła sztukę jako bóstwo, z którem połączyć się należy. Mamy tu do czynienia z doktrynerem sztuki. W jaki sposób odbędzie się urzeczywistnienie: przez unicestwienie wszelkich przeszkód (więc siebie samego), przez śmierć. Sztuka bowiem polega na tem, żeby b y ć swojem własnem marzeniem. Nie zaś na dziełach. Rzecz to niedostojna.

Pewnego razu Leonardo da Vinci, może w chwili przekory, powiedział, że sztuka (un' arte) tem jest podlejszą, im większego wymaga wysiłku ciała. Zdanie to odbyło swoją drogę w umysłach ludzkich. Można wyobrazić sobie, że usłyszał je Michał-Anioł, a wówczas musiał rzucić jakąś straszliwą obelgę, podobną proporcyami do olbrzymów, jakie rzeźbił. Michał Anioł obraził się, ponieważ miał duszę ponurą. Prawdopodobnie. Słowo rzucone przez obojętnego przechodnia mogło mu splamić rzeźbę, rozbudzić w nim pogardę i nienawiść. Był to umysł pełen pogardy i nienawiści. Porwał go gniew wielki, można przypuścić, nie tylko na słowa rzucone, lecz i na człowieka, który je rzucił. Była to nienawiść człowieka porywanego zawsze jednem uczuciem, jakby płomieniem, dla człowieka, który, mówiąc językiem bieżącym, umiał się hamować; gdy tymczasem możnaby określić inaczej: dla człowieka, który tysiącznych doznawać mógł wzruszeń w jednej chwili i tejsamej. Michał-Anioł był zawsze zabsorbowany; samotnik srogi, który od ludzi uciekał, gardził nimi, podłymi, podobnie jak jego mistrz Savonarola, gniew uosobiony. Leonardo był samotnikiem, ponieważ ludzie od niego stronili. Nie trzeba zgłębiać tego zbytnio. Wystarczy powiedzieć tak: dwa są rodzaje samotności. Dalsze rozmyślania poczynią inni. Umysły takie, jak Michał-Anioł odpędzają swoją ponurością; takie jak Leonardo zawsze są w licznem otoczeniu, a samotni. Gdy są artystami przedstawiają olbrzymów, które są rzeczywistością, ludźmi całymi. Tamci zaś, Michał-Anioł, maluje ludzi w większych niż naturalne proporcyach, dają zaś zaledwie cząstkę człowieka. Rodzaje to umysłu odmienne: widzą rzeczy jak są: szerzej, ciaśniej, byłyby określeniami niedostatecznemi. Michał-Anioł malował i rzeźbił ludzi całkiem porwanych jednem uczuciem, podobnych zatem do niego samego. Zawsze niemal na krańcu wybuchu. Malował poprostu afekty ludzkie. Był to człowiek wybuchający. Można o tem znaleść zdanie inne: że malował bohaterów. Być może. Stosownie do pojęcia bohaterstwa Ludzie, którzy wybuchać nie umieją, którzy niezdolni jednego, ciągłego afektu, skłaniają się łatwo do wyimaginowania bohaterstwa, na tem właśnie polegającego. Stąd do owej formułki: sztuka nie jest rzeczą dostojną, już niedaleko dla umysłu niepewnego, skłonnego do przeciwstawień. Leonardo malował ludzi, którzy nigdy nie wybuchają, ponieważ, może, rzecz każda zjawia się ich oczom jak pryzmat o tysiącznych płaszczyznach oświetlonych. Michał-Anioł nie wiedział, co to człowiek cały, dlatego zachował swoją siłę własną. Gniew, groza, zaduma, oto, co do niego przemawiało. Człowiek nie obchodził go inaczej, jak ze strony układu anatomicznego. Umiał zakreślać wyraźne granice, reszta nie obchodziła go wcale. Był to, jednem słowem, człowiek pochłonięty. Nienawidził człowieka, który nie da się pochłonąć, a wszystko pochłania Michał-Anioł skutkiem tego nigdy nie mógł wydobyć się z głębi. Niewiadomo, czy chciał. Ponieważ był często niezadowolony, wnosić można, że tak. Lecz po drodze wybuchał mimowoli w kierunku afektu jedynego, pochłaniającego. Rzecz tak spokojna, wedle wszystkich mniemania, jak Jl Pensieroso (we Florencyi) jest pozą człowieka zadumanego. Kto ten człowiek, niewiadomo. A to portret! Michał-Anioł robił zawsze mniej albo więcej niż chciał. Można powiedzieć, że afekty u wszystkich ludzi są jednakowe, mają atoli fizyonomie różne. Michał-Anioł był mistrzem w przedstawianiu fizyonomii afektów. Przebiegłszy uważnem okiem dzieła tego mistrza, można odpowiedzieć na następujące pytanie: jaką fizyonomię ma ten lub ów afekt we Włoszech, ściślej: w Rzymie lub Florencyi. Michał-Anioł dawał afektom rysy twarzy narodowe. Niewiadomo, czy taki typ narodowy wystarczy, lecz jest stanowczy. I uchwycił jedną z właściwości ludzi włoskich: są to ludzie pochłonięci. Czasami można ich widzieć na ulicy, jak stoją i patrzą oczyma, które nic nie widzą. Coś się w nich dzieje, może nawet szaleje. — W tem miejscu możnaby napisać ustęp o prostocie. Inni go napiszą. Można również umie-

ścić tu R. Wagnera i w ten sposób zajrzeć nieco w tajemnicę popularności (co nie znaczy jeszcze: narodowości).

* * *

Dygresya o Velazquez'ie. — Velazquez urodził się w Hiszpanii (r. 1599). Hiszpania jest krajem ludzi niezdecydowanych, więc gotowych na wszystko. Hiszpanie są to ludzie wolni, którzy wobec każdego zdarzenia zachowują świeżość, obecność, bezwzględność. Niema może u nich skrystalizowania, ujęcia talentu w jedną postąć i pchnięcia go w kierunku jedynym. (Wątpić można, czy w takim kraju może powstać sprzeczka o czyny i myśli). Hiszpanie nie mają... metody. Każda działalność — wojowanie, pisanie, malowanie i t. d. — jest działalnością i niczem ponadto. Cervantes np. nie był pisarzem od samego początku. Odbył cały szereg wypraw wojennych. Był urzędnikiem. Po powrocie z wyprawy portugalskiej ogłosił drukiem „Galateę", potem wystawił dwadzieścia kilka komedyj, o których sam powiada, że odbyly swoją drogę bez przeszkód nijakich: nie było gwizdania, wycia ani krzyków, nie było ogryzków, ani innych pocisków. Hiszpan z owych czasów nie przywiązywał wielkiej wagi do swoich czynów. Zapominał. Zabierał się do nowego dzieła. Nie wytwarzał sobie więc pojęcia zasługi. Siebie bowiem umiał zachować wszędzie i zawsze.

Velazquez, Hiszpan, mógłby był jąć się wszystkiego. Ludzie mocni niczego nie żałują, może nawet niczego nie pragną. Za młodu okazywał V. zdolność do rysunku. Rodzice oddali go na naukę do malarza Herrery, człowieka gwałtownego i wyłącznego. Niedługo tam zabawił. Przeszedł do pracowni malarza i pisarza Pacheco (późniejszego teścia) i malował jak... Velazquez. Nie, żeby uważał sposób mistrza za zły, lecz, że prawdopodobnie sposób swój własny miał za równie dobry.

Hiszpan działa swobodnie, rzecby można niedbale, lecz nie od niechcenia. Są to ludzie prości, w sobie mocni, którzy zatem oddają rzeczom naokół, co im należne. W dziełach Velazqueza nie znajdzie nigdzie przesady czyli tzw. idealizacyi, czy to w kierunku karykaturalnym (jak u późniejszego Goyi) czy też w kierunku patetycznym (Zurbaran) Ludzie tacy, jak owi Hiszpanie, wobec każdego zdarzenia są nowi, przeszłość nie ma nad nimi mocy ani też przyszłość: brak im ciekawości, wyczekiwania, nie wiedzą, co to szukanie.

W Madrycie zetknął się V. z Rubensem, sławnym już wówczas na całą Europę. Rubens niezmiernie był płodny. W ciągu krótkiego pobytu w Hiszpanii pokrył farbą niezliczoną ilość płócien i załatwił kilka spraw dyplomatycznych. Potem wyjechał. Dla Velazqueza wyjechał gruntownie Velazquez słuchał opowiadań Rubensa, pełnych dowcipu i gładkich, patrzył nań zapewne swym niemal zimnym, pełnym mocy wstrzymanej wzrokiem i... szedł do s w o j e j roboty. Tacy oni niemal wszyscy. Nawet sam Don Quijote. Świat nad nimi nie ma władzy wcale.

Na portretach V. przedewszystkiem ta moc widnieje: tych ludzi, patrzących naokół, nie zdoła nic wykrzywić, nie zdoła nic najść niespodzianie. Nie spodziewają się niczego, są gotowi na wszystko. Są zawsze w sobie, niemal zimni. W każdej sytuacyi. I o tem nie wiedzą, nie znają siebie samych wcale; niema też u takich ludzi żadnego rozdźwięku, żadnego zmagania się ze światem. A więc żadnego uśmiechu wyższości, ani uśmiechu goryczy. Tolerancya ich wynika nie z rozmyślań, z walk (z przesądu), lecz z mocy, z prostoty.

Takim człowiekiem był prawdopodobnie Velazquez. Na jego portrecie własnym można widzieć to spojrzenie, które pada na rzeczy, nie ocenia, nie przebiera, uznaje. Zarzucano mu, że maluje rzeczy trywialne, nie zaś wielkie na sposób Rafaela. Odpowiedział: „wolę być pierwszym w rzeczach trywialnych, aniżeli drugim w rzeczach wzniosłych". Znowu w stosunku do Rafaela to mocne spojrzenie, które pada na rzecz i pozwala jej być nadal tem, czem jest, które widzi dokładnie moc swoją własną i jej granice. Velazquez odchodzi i wraca do s w o j e j roboty. Takisam jest stosunek V. do dworu Filipa IV, na którym zajmował sta-

nowisko dość podrzędne. Byłoby zajmującą rzeczą, czy takich ludzi coś drażni lub razi. V. patrzy tym samym wzrokiem na wszystko.

Na portretach jego można widzieć ludzi, których nie łączy żaden ze światem stosunek. Nie wychodzą ani spojrzeniem, ani grymasem, ani ruchem jakim innym z płótna, raczej przeciwnie, jakby sie weń zagłębiali, usuwali w cień. Ludzie ci musieli ciąć mieczem w sposób niechybny. Jest zawsze odległość nie do przebycia między rzeczą, a osobą ich własną.

Tego rodzaju umysł widzi tylko fakty nagie. Nie wchodzi w żaden do nich stosunek: przyjazny, nienawistny, jakikolwiek. Za wyjątkiem tego jednego, który konieczny (i, który, co prawda, już jest uszczupleniem faktu): człowieka patrzącego na rzecz. Każdy inny stosunek byłby ukróceniem wolności własnej. Niezależność takiego umysłu znaczy się przyznawaniem niezależności drugim. Może dlatego te portrety żywe takie prawdziwe, jak mówią. V. nie dodaje, nie ujmuje. Nie jestto brak wyobraźni (określenie p. W. M. w „N. Słowie"), lecz może stanowczy kult wolności. Można powiedzieć, że wyobraźnia u Velazqueza pierwszym jest czynnikiem: portrety jego, to nietylko podobizny, ale i ludzie. Dla dojrzenia ludzi trzeba wyobraźni. Przedstawić człowieka, znaczy uszykować go tak, że widoczny jest stosunek jego do świata (charakter). Chociażby nawet stosunek polegał na tem, że dzieli człowieka od świata cała przepaść. (P. W. M. określał zresztą z punktu widzenia malarskiego).

Obrazy V. są przeważnie nieruchome, wszelka tu rzecz jest w spoczynku. Konie wspięte nie wykazują śladu rozpętania. Taksamo ludzie i inne rzeczy. Umysł tego rodzaju wszystko, co nazywa się ruchem, sprowadza do naturalnych granic. Żaden ruch nie może mu rzeczy zmienić, nie zdoła takiemu oku zakryć całości. We wszelkim ruchu, we wszelkiem działaniu, we wszelkim czynie rzecz ta będzie sobą. Pochłonie, a nie da się pochłonąć.— O stylu V. w dalszym ciągu.

* * *

Wrocić trzeba do owej formułki. Człowiek, który ją ciągnie za sobą, czegoś szuka doskonałości, pełni, namiętności, nie może jednak zadowolić się działaniem doskonałem, pełnem, namiętnem. Pragnie, aby jeden postępek był doskonałością itd. Sposobem wielu umysłów rozdzielił rzeczy na nie same i na ich przedmiot: jednej stronie wyłączną przypisuje wartość, dostojność, może istnienie. Sztuka nie jest rzeczą dostojną, ponieważ (prawdopodobnie) nie jest życiem, lecz jeno rozmyślaniem o życiu. Umysł ten stworzył sobie pojęcie bohaterstwa, jako przeciwstawienie siebie samego. Niezadowolony i nienasycony zawsze i wszędzie: kochanek uzna każdy krok miłosny profanacyą, artysta powie, że dzieło każde jest kompromisem, oddaleniem się od idei, rozdrobnieniem całości na cząstki.

Jednem słowem, umysł to wrogi metodzie, zawodowi, fachowi. P. Berent napisał pierwszą książkę i dał jej tytuł: „Fachowiec". „Próchno" opowiada innym językiem, niekiedy bardziej poetycznym, tosamo; tok spraw tensam. Ponieważ ludzie są inni w obu książkach, więc wypadki i n a c z e j biegną.

Najwidoczniej tedy ów umysł nie jest artystyczny, nie spostrzega, że jego „Sztuka", a szczególnie „Życie", to twór artystyczny już sam, co do którego konieczny jest zmysł sceniczny. Temu tworowi nie wolno dać wyjść z ram właściwych, trzeba go wykonać w materyale właściwym. Idąc zaś za myślą jego własną, otrzymamy tok następujący: Mówić nie jest rzeczą dostojną, więc trzeba milczeć. Lecz... milczeć nie można. A wówczas narzucają się przemocą prawa mówienia. Nikt nie milczy na świecie, są, którzy zamilczają. Oczywiście najtragiczniejszą, więc najgrubszą pomyłką, to właśnie owa formułka, która jest mówieniem pod każdym względem. W ten błąd popada ciągle: poczyna sobie za szeroko, kończy za ciasno. Stąd ponure niezadowolenie. Można wyobrazić sobie umysły, którym darzy się naodwrót. Poczynają sobie za ciasno, wypada im za szeroko. Człowiek tu dąży do milczenia. Oto jego dzieło. Doszedłszy do milczenia,

stanie się niepotrzebnym. Inni jego dzieło podejmą. Jak widać, tu ludzie za największą poczytują sobie zbrodnię, że są, czem są, gdy tymczasem inny sposób bycia jest dostojny, więc ów sposób, w którym człowieka pochłania afekt jedyny. Twór artystyczny, to widoczna. Sztuka nie jest rzeczą dostojną. Co jest rzeczą dostojną? Życie jest dostojne. Lecz życie jest mówieniem, poza mówieniem niema życia, jest bezimienność. (P. Berent nieznacznie doprowadził swego bohatera do tychsamych granic, do których p. Irzykowski sam się zawiódł). Jak widać, zagadka to niezbyt zawiła, ani mglista, ani niewyraźna. Owszem — i zbyt łatwa. Kochankowie romantyczni lub pałubiczni — to na jedno wyjdzie — mówią w ten sposób: „Namiętność (imię) urzeczywistnia się w bezimienności. Tu, na ziemi owo urzeczywistnienie niemożliwe jest z tego prostego powodu, że człowiek nie zdolen jest płomienności, całkowitego pochłonięcia przez jedno uczucie“. Spojrzmy teraz na „Życie“. Marzyciele nasi powiadają, że właśnie życie jest owym afektem jedynym, a w takim razie nie jest niczem innem, jeno rzeczą niemożliwą. Dostojność się rozwiewa nieznacznie. W stosunku do tego życia, każdy akt zwykły, codzienny... fachowy jest tem, czem mówienie w stosunku do milczenia. Mówienie bowiem zdoła wyrazić tylko cząstkę milczenia. Jak widać, nie brak tym ludziom zdolności dzielenia znaczeń na tysiączne odcienie. Brak im tylko swobody. Nie wiadomo oczywiście, czy tu oddaje się ich myśl należycie. Czerpiemy bowiem raczej z wyobraźni, niż z dokumentów. Widać atoli rzecz jedną: gdyby zamiast Sztuka umieścić Życie, położenie nie zmieniłoby się wcale. Akty jednej rzeczy i drugiej nie różnią się wcale — a wówczas trzebaby formułkę zmienić w ten sposób: „Życie nie jest rzeczą dostojną“.

Mamy tu zatem do czynienia z umysłami bezradnymi, które tłomaczą zdarzenia i oceniają je wedle swej idei, a więc pozbawionymi swobody. Ustanawiają gwałtowne różnice, których stosunek jest n. p. taki jak pisarzy pamfletów i panegiryków. Pamflecista rozumie, że nie jest panegirystą. Idzie oczywiście o swobodę: o potępianie bez względu, o chwalenie bez względu, bez uzasadnień. Wszelkie uzasadnienie, tu, jest oglądaniem się w prawo i w lewo, brakiem swobody. Dzisiaj i jedni i drudzy są bezradni: posługują się inwektywą, jako środkiem rzucania tła. Bez inwektywy, panegiryk n. p. będzie blady zupełnie. Przeciwstawień niema.

Umysły bezradne: nie ma jednak mowy o braku talentu. Nie ma ludzi pozbawionych talentu: lecz kierunku, metody. Więc umysły te gardzą tem, czego nie mają. Są to sprawy dramatyczne, lecz, dlaczego... próchno? Autora samego, p. Berenta, opuściła w tem miejscu swoboda. To, co nazywają symbolizmem, podkreślaniem znaczenia stosownie do idei, jest raczej niewolą: jak każda teza.

Te sprawy dramatyczne, polegające na przeciwstawieniach: żyć — pracować, te biadania nad tem, że trzeba „tworzyć zamiast żyć“, są bardzo częste. Można je znaleźć nietylko w dramatach i w powieściach, w których oczywiście idzie o przedstawienie takich właśnie umysłów, ale i w krytyce np. Krytyk zamienia się, ani o tem nie wie, na osobę dramatu. Pod tym względem bardzo zajmujący jest artykuł teatralny p. J. Stena („Krytyka“, październik, str. 260), w którym te dziwne formułki powtarzają się niemal dosłownie. W dramacie jednak bohater niebacznie „wyciąga konsekwencye“ i ginie — owa formułka jest gestem konającego. U krytyka zaś naszego, to sentymentalne westchnienie; można tu podziwiać umiejętność nie wyciągania wniosków. Lecz widoczna, że krytyk ani nie zdaje sobie sprawy, że jest na jakimś krańcu, ani, że się cofa. Niema również nic podziwu godnego Taine, który smętnie powiedziawszy, że po dokonaniu roboty, trzeba gotować narzędzia do nowej pracy, nadal smętnie spogląda przed siebie. Taka postawa, w której człowiek z westchnieniem bierze porzucone co dopiero pióro i, głowę wsparłszy na lewej dłoni, znowu wraca do pisania, ma wszelkie cechy rezygnacyi, lecz nią nie jest. Postawa człowieka, który myśli o niczem. Porównać Michała Anioła Il Pensieroso.

St. Lack.